



W POKOJU



2550
BIBLIOTECZKA POWIEŚCI HARCERSKICH
TOM I.

ROMUALD KAWALEC

POLOWANIE



HARCERZOM IV WOJENNEJ DRU-
ŻYNY HARCERSKIEJ W KRAKO-
WIE — WSPOMINAJĄC CHWILE
WSPÓLNEJ A OWOCNEJ PRACY
W NAJCIEŻSZYCH DLA ORGANI-
ZACJI CZASACH — POŚWIĘCA

DRUŻYNOWY.



KRAKÓW 1919.

Nakładem „Samopomocy młodzieży szkolnej” sklepu
harcerskiego w Krakowie.

BIBLIOTEKA
Nr 2350

Polish Scout Library

BIBLIOTEKA

~~1154~~ 2350.

Kon
Pol

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY :

1. Opowieści skautowe 1917, tom I. (wyczerpane).
2. Opowieści skautowe 1918, tom II.





Polowanie.

— Wstawaj! — budził Witek śpiącego brata.

— E... e... jeszcze ciemno — mruknął Staszek i odwrócił się na drugi bok.

— Więc nie pojedziesz na polowanie?

Ale Staszek już nie słyszał tego pytania, bo zasnął na nowo. W tej chwili tuż za oknem huknął strzał z dubeltówki. Staszek zerwał się na równe nogi, a Witek wybiegł na pole. Tu ujrzał swego wuja, który stał z dymiącą jeszcze strzelbą.

— Do czego wujaszek strzelał? — zwrócił się do niego z zapytaniem.

— Do dzikich gęsi! Zdaje mi się, że spadła jedna do ogrodu. Idź zobacz!

— Jest, jest, — wołał już z daleka uradowany młodzieniec — ale to jest dzika kaczka nie gęś!

— Co, co ty mówisz?

— O proszę spojrzeć — mówił pokazując ptaka.

— Rzeczywiście... ale to nie pojęte. Głowę daję za to, że leciało stado dzikich gęsi, a nie kaczek.

— Może się wujaszкови przywidziało, bo przecież mamy tu dowód niezbity...

— Nie, to niemożliwe, bo nie tylko tak leciały nisko, że mogłem je rozróżnić, ale także wydawały swój charakterystyczny okrzyk, który dobrze słyszałem.

— Czy wujaszek strzelał tu może wczoraj wieczorem — zapytał nagle przyglądając się nieżywemu ptakowi.

— Tak, strzelałem do dzikich kaczek!

— Więc tę kaczkę wujko wczoraj zastrzelił!

— Wykluczone, bo byłbym widział gdyby spadła!

— Ależ ta kaczka skończyła swój żywot przed kilku godzinami. O proszę się przyjrzyć tej ranie. Krew na niej już zupełnie skrzepła!

— Tak, masz słuszość, ale wobec tego musi być w ogrodzie i gęś; chodźmy tam.

Przeszukali cały ogród, nie znaleźli jednak nic. Gdy dochodzili do furtki ogrodowej, Witek obejrzał się jeszcze raz i nagle skoczył między kapustę. Swoim byстрым wzrokiem ujrział na jednej z główek parę kropel krwi.

— No co, znalazłeś ją? — zapytał wuj.

— Jeszcze nie, ale wnet znajdę, bo jestem na tropie.

— Cóż tam masz takiego?

— Jest parę kropel zupełnie świeżej krwi, ale jest i parę piórek!

— Trop więc prędko i wracaj zaraz na śniadanie, bo za pół godziny pojedziemy.

Tymczasem Staszek ubrał się i zaciekawiony przyszedł do ogrodu.

— Czego szukasz tam w kapuście — zwrócił się do brata z zapytaniem.

— Dzikiej gęsi, którą wujko postrzelił! Chodź pomożesz mi tropić!

— Więc to wujaszek strzelał?

— Tak!

— Kiedy jedziemy?

— Za pół godziny!

— Wobec tego wracam do domu, bo nie myłem się jeszcze.

W tej chwili Witek zawołał znowu głośno:

— Jest, jest!

— To ją bierz i chodź, a trzymaj dobrze za ogon, by ci nie uciekła. A może przynieść ci soli — dodał widząc, że brat zaczął biec w dół ogrodu ku rzece — ale i sam zaciekawiony podążył ku niemu.

— No cóż, gdzie jest ta twoja gęś, bo ja jej nigdzie nie widzę — mówił do pochylonego nad kępą krzaków Witka.

— Patrz! Tu schroniła się i odpoczywała. Świadczą o tem liczne ślady krwi i te piórka porozrzucane wokoło. Była tu najwyżej przed pięciu minutami, a obecnie — mówił rozgląda-

jąc się na wszystkie strony — jest z pewnością w zbożu.

Znaleźli ją tam drgającą jeszcze w ostatnich konwulsjach.

Gdy wrócili z powrotem, zastali już swego wuja z dubeltówką na wózku.

— Gdzie znaleźliście ją?

— W zbożu nad rzeką!

— Więc aż tam zaleciała? Twarda sztuka — mówił oglądając ptaka — dostała w brzuch i miała jeszcze tyle siły? Weźcież prędzej wasze rzeczy — zwrócił się do chłopców — i siadajcie bo czas nam w drogę. Śniadanie zjecie na wózku.

Wybierano się na rogacze do lasów, odległych o kilkanaście kilometrów. Bracia, którzy od czasu wstąpienia do harcerstwa przestali polować z bronią palną, zaopatrzyli się w aparaty fotograficzne. Witek posiadał swój aparat, zaś Staszek wypożyczył go od swego przyjaciela.

Droga stawała się zajmującą. Rozpoczynały się olbrzymie lasy dębowe, które ciągnęły się wzdłuż gościńca nieprzerwanie na przestrzeni kilku kilometrów. Już słońce zaczęło się wyłaniać z za nieboskłonu, kiedy dojechano do tak zwanej „murowanki“, karczmy znajdującej się na rozgraniczu lasów dębowych i szpilkowych.

— Ano chłopcy — zaczął wuj — wysiadziemy tutaj na parę chwil, aby napić się czegoś ciepłego.

4 — Hej Mojżeszu, a otwórz tam! — krzyknął uderzając batem w okno.

Jeszcze nie przebrzmiały te słowa, a już otworzyły się drzwi karczmy i ukazał się w nich stary, pejsaty żyd, przybrany w swój strój do modlitwy.

— Sługa najniższy pana sędziego — mówił kłaniając się nieomal do samej ziemi — pan sędzia pewno na polowanie. Ajaj, a to co za piękne panicze, pewnie siostrzeńcy...

— Tak, tak, Mojżeszu, a masz co dla nas ciepłego?

— Ny... dla pana sędziego wszystko się znajdzie — mówił otwierając szeroko drzwi wchodzącym.

— Jak tam ze zwierzyną, czy pokazują się w tych stronach rogacze?

— Ajaj! unych jest teraz co niemiara. Chłopi narzekają, że im robią szkody w zbożu.

— W której stronie jest ich najwięcej?

— Na wielkiej polanie pana hrabiego!

— No to proszę dać dla mnie wódkę, dla chłopców herbatę i coś na przekąskę; tylko szybko!

W pół godziny potem ruszano w dalszą drogę. Przez jakiś czas jechano na rozgraniczu lasu dębowego i szpilkowego, zanim zagłębiono się w zwykły liściasty las. Okolica stawała się coraz bardziej urozmaiconą. Drogę przecinały wąwozy lesiste i już tu i ówdzie prze-

mykały hyże rogacze, zrywało się dzikie pta-
ctwo.

Zapał myśliwski rósł w jadących, a doszedł
do szczytu, gdy po przybyciu na wielką, le-
śną polanę, ujrzano na jednym jej końcu grupę
pasących się saren.

— O ile mi się zdaje, to jest między niemi
jeden rogacz i to dość pokaźny, wyszedł wła-
śnie w tej chwili — mówił wuj przyglądając się
przez szkła. Który z was umie dobrze podcho-
dzić?

— Witek jest w tem niezrównany — ode-
zwał się Staszek.

— Więc zrobimy tak. Ty Witku obejdiesz
polanę z prawej strony, podpełzniesz o ile mo-
żności jak najbliżej tych zwierząt, a następnie
spłoszysz je, tak by pobiegly ku nam. My bę-
dziemy z przeciwnej strony polanki. Oczywiście
przy tej sposobności możesz zrobić zdjęcie fo-
tograficzne.

— Ślicznie! Idę!

Witek zagłębił się w las. Szedł z największą
ostrożnością, bo choć był jeszcze daleko od pa-
sającej się gromadki zwierząt, to jednak znał już
dobrze ich niezwykłą czujność. Rzecz nie była
łatwa, bo wszędzie leżało mnóstwo suchych ga-
łęzi, które trzeba było ostrożnie wymijać, by nie
wywołać żadnego szelestu.

Po pewnym czasie, gdy przyszedł do prze-
konania, że już jest dość blisko celu, rzucił się

na ziemię i począł pełzać ze zdwojoną ostrożnością. W ten sposób wydostał się na sam brzeg polanki i nagle ujrzał o parę kroków zaledwie od siebie sarny. Przyłgął do ziemi i z zapor-tym oddechem zaczął przygotowywać aparat do zdjęcia. Nim tego jednak dokonał, długo przypa-trywał się zachwycającemu widokowi. Oto pięć saren skubało trawę, a wokoło nich chodził po-ważny i majestatyczny rogacz, czuwając zdaje się nad ich bezpieczeństwem. Co pewien czas zatrzymywał się, rzucał swem bystrem i mą-drem spojrzeniem gdzieś w dał, chwytął w na-stawione uszy wszystkie szmery pogodnego ranka, a upewniwszy się, że nie ma nic podejrzanego, odbywał dalej swoją wędrówkę. W pewnej chwili zatrzymał się tuż naprzeciw ukrytego mło-dzieńca i zwróciwszy ku niemu swą piękną głowę, zaczął węszyć.

Witkowi zdawało się, że rogacz poczuł go i z obawy, by przed czasem nie umknął, poci-snął gumkę. Charakterystyczny szmer, który przytem powstał, wystarczył, by spłoszyć zwie-rzęta, które w szalonym pędzie pomknęły w kie-runku przeciwnym.

Jeszcze nie zdążył powstać, kiedy huknął jeden, a potem drugi strzał. Szybko podniósł się i podbiegł w stronę wuja.

— Jakżesz się powiodło — zapytał przy-bywszy na miejsce.

— Ano upolowałem zwierzyne — odpowiedział mu Staszek.

— Najgorzej jeżeliś ty ją upolował?! —

— Tu siedzi, braciszku — mówił uderzając ręką w aparat — zrobiłem przepyszne zdjęcie, w chwili, kiedy te zwierzęta przebiegały obok nas w pełnym galopie. Na samym czele pędził wspaniały rogacz. W chwili, kiedy zwócił głowę ku nam, wujko strzelił, a ja zrobiłem zdjęcie.

— A czy wujko go trafił?

— Zdaje mi się, że postrzeliłem go, bo przez sekundę zatrzymał się...

— A przytem zrobił tak żalosną minę — kończył za niego Staszek — że mało brakowało a byłbym beknał.

— I upodobił się do niego!

— Cóż teraz będziemy robili?

— Ja pójdę na mniejszą polanę; może tam będę miał większe szczęście, a wam poleciłbym iść w tropy za rogaczem, bo wcześniej czy później padnie. Dałbym głowę za to, że dostał postrzał w szyję. Dowidzenia chłopcy, a nie wróćcie z próżnemi rękoma.

— Dowidzenia wujaszku! Postaramy się wrócić w towarzystwie rogacza.

— Czy ty Witku zrobiłeś jakie zdjęcie — zwrócił się Staszek do brata.

— Tak, założmy teraz nowe klisze, bo może się coś w drodze trafić. W której stronie znikł postrzelony rogacz?

— Chodź, pokażę ci!

Przez pewien czas szli za bardzo wyraźnemi śladami krwi, które doprowadziły ich do wyrębu leśnego. Tu wszelkie ślady znikły i chłopcy musieli przerwać dalsze poszukiwania.

— Najpierw musimy się przekonać — zaczął mówić Witek — czy rogacz przechodził przez ten wyręb leśny, czy okrążył go...

— Gdyby przechodził byłyby ślady — przerwał mu Staszek.

— Niekoniecznie, bo mógł n. p. przesadzić jednym skokiem tę małą przestrzeń. Zobaczmy jak wyglądają ostatnie ślady.

Pokazało się, że trawa była w paru miejscach świeżo poruszona, a krople krwi były widoczne w trzech różnych kierunkach w niewielkich odległościach od siebie.

— Przyjrzyj się tłumaczył Witek towarzyszowi — tym śladom krwi; są one tutaj obfitsze aniżeli gdzieindziej. Na jaki wniosek naprowadza cię to?

— Rogacz zatrzymał się tu widocznie dłużej.

— Tak, osłabiony wpływem krwi, stanął, by odpocząć chwilę.

— Wnioskujmy dalej. Po krótkim czasie, musiał iść dalej. Przez środek wyrębu nie przechodził, bo nie ma na tej przestrzeni żadnego, nawet najdrobniejszego, śladu, któryby wskazywał na to...

— Ale mógł obejść dookoła...

— Tak, to jest jedna możliwość, a nie jest wykluczone i to, że jak już wspomniałem mógł skokiem przebyć tę drogę.

— Wątpię czy chciałoby mu się w tych warunkach skakać...

— Oczywiście, że dla przyjemności nie skakałby, ale mógł to uczynić spłoszony przez człowieka lub jakiegoś drapieżnika...

— Jakież mogą być drapieżniki w tych lasach?

— A wściekłe psy...

— Te już wytępiono...

— O nie wszystkie! Właśnie słyszałem wczoraj, że w tych okolicach napadł taki pies pewnego pastucha i pogryzł go śmiertelnie. Ale nie traćmy więcej czasu i chodźmy najpierw na drugą stronę polanki zbadać dokładnie teren...

Rozpoczęły się znowu poszukiwania, które były o tyle utrudnione, że w tem miejscu rósł prawie wszędzie mech.

— Nie ma innej rady — rzekł w końcu Staszek — tylko trzeba nam zatoczyć koło...

— Cierpliwości Staszku... a to co? — zawołał nagle i nachylił się ku ziemi.

— Znalazłeś jaki ślad?

— Tak, patrz na to drzewo; cóż tu widzisz ciekawego?

— Chyba to, że jest na niem kora, bo nie innego nie widzę.

— A to co? — zapytał, pokazując zdumio-

nemu bratu parę brązowych włosków przyczepionych do drzewa.

— Wiesz Witku, że muszę podziwiać twoją spostrzegawczość.

— Wnioskujemy — mówił Witek dalej, niezważając na te słowa — rogacz musiał się przerazić czegoś bardzo, skoczył nagle i otarł się o drzewo, zostawiając na niem parę włosów ze swojej sierści. Teraz już wiemy, że poszedł tędy, chodźmy więc dalej.

Następne ślady krwi znaleziono dopiero o 200 kroków. Odtąd były one coraz wyraźniejsze, a miejscami widać było nawet całe kałuże krwi.

— Upływ krwi jest tak wielki, — odezwał się po długim milczeniu Witek — że musiał stanowczo paść gdzieś niedaleko stąd... — nagle przestał mówić i zaczął nadśłuchiwać — o ile mi się zdaje — rzekł po chwili — to słyszeć jakieś głosy ludzkie i ujadanie psów.

— I ja to samo zauważyłem — rzekł Staszek — może to jaka wieś?

— Tu, skądże znowu?

— Aha! przypominam sobie! Nie daleko stąd jest leśniczówka.

— Skąd wiesz o tem?

— Znam te okolice!

W tej chwili gałęzie drzew rozchyliły się i wypadł z nich duży pies myśliwski, a tuż za nim ukazali się zdumionym braciom dwaj znani im harcerze, z dubeltówkami na plecach

nie mniej zdumieni niespodziewanem spotkaniem.

— A wy skąd wzięliście się tutaj — zapytali naraz i jedni i drudzy.

Wśród śmiechu zaczęli sobie opowiadać wzajemnie przygody dnia. Gdy Staszek opowiedział o polowaniu na rogacza i o dotychczasowym wyniku tropienia, Zbyszek nie mówiąc nic, poprowadził braci o kilkaset kroków w stronę leśniczówki i wskazał miejsce, w którym leżał nie żywy już rogacz.

— Przyjrzyj się Witku — zawołał nagle Staszek — to zwierzę nie zginęło z rany, ale zostało zagryzione przez wściekłego psa.

— Spodziewałem się tego — czy wyście go nie zastrzelili przypadkiem — zwrócił się nagle do towarzyszy.

— Tak jest i ten właśnie pies stanowi nasz dzisiejszy łup myśliwski. Polowaliśmy na niego już od paru dni i dopiero dzisiaj udało nam się...

— W jaki sposób wpadliście na jego trop?

— Byliśmy właśnie na leśniczówce, kiedy usłyszeliśmy przytłumione odległością szczekanie. Podążyliśmy za tym głosem i przybyliśmy tu w chwili walki rogacza z psem, którego oczywiście zastrzeliliśmy.

— A gdzież on jest?

— Koło leśniczówki. Zraniony ciężko przez nas, rzucił się do ucieczki i dopiero nasz sułtan dogryzł go...

— Chodźmy tam!

Zaledwie uszli kilka kroków, ujrzeni zbliżającego się do nich leśniczego, który przywitawszy się z nimi poprosił!

— Może panowie będziecie łaskawi wstąpić w moje ubogie progi i posilić się nieco?

— Z wdzięcznością skorzystamy z zaproszenia — ale troszkę później, gdy przyjedziemy tutaj z wujem! — odpowiedział Witek.



Pastuszek.

Jasiek był synem gospodarza, „siedzącego“ na dziesięciu morgach ornego pola i na dwunastu lasów. Jedyną czynnością, jaką mu powierzano, było pasanie bydła. Był jeszcze zbyt młody, aby mógł razem z braćmi pracować na roli. Obiecywano mu to z roku na rok, kładąc za warunek, aby zmężniał i rozrósł się jeszcze więcej. Bo też, mimo swych dwunastu lat, wyglądał na ośmioletniego chłopaczka, tak był niepozorny i nikły. Z wszelkich bójek, jakie stawali chłopcy we wsi, wychodził zawsze pokonany i to go upokarzało. Mawiał wtedy do nich: „czekajcie, niech ja podrosnę, to wam pokażę“, ale rówieśnicy wyśmiewali się z niego, bo lata mijały, oni się rozrastali, a Jasiek był zawsze tym samym mizernym chłopczyką.

On wprawdzie nikogo nie zaczepiał i jemu też danoby spokój, że jednak był bardzo czuły na niedolę drugich, starał się przychodzić im z pomocą. Kończyło się zwykle na tem, że

chłopiec, którego brał w obronę uchodził cało on zaś z guzami. W takich wypadkach Jasiek nie płakał nigdy, tylko zaciskał zęby i wygrywał potem swoje żale na skrzypkach własnej roboty. Jak sam mógł spamiętać, płakał tylko w życiu dwa razy. Raz, gdy ujrzał w lesie postrzeloną przez przemytnika sarnę, tulącą do siebie młode i żałośnie spoglądającą wokoło, a potem, gdy w jego oczach źli chłopcy rozbili kamieniem głowę pewnej dziewczynce.

Takie stosunki trwały do chwili, kiedy Jasiek przekroczył dwunasty rok życia. Już od dłuższego czasu zauważył dziwną zmianę w swych rówieśnikach. Nie wyrządzali żadnych psot we wsi, a tylko często zbierali się na ławce i nad czemś długo radzili. Parę razy zauważył nawet między nimi młodego nauczyciela, który przybył do wsi niedawno i od wakacyi miał zacząć uczyć w szkole.

Pewnego dnia pasał jak zwykle było w ojcowskim lesie i przygrywał sobie na ulubionych skrzypkach. „Zapamiętał“ się tak bardzo w graniu, że zapomniał zupełnie o swoim bydełku, które poszło sobie w las. Gdy po pewnym czasie zauważył to, odłożył skrzypce i zaniepokojony mocno, pobiegł za niem.

Zaledwie oddalił się kilkanaście kroków, gdy usłyszał słowa:

— Jasiek, a choć do mnie, bom ci przygnał było!

Wrócił się i ze zdumieniem ujrzał na wyrębie leśnym Wojtka, tego właśnie, który mu najwięcej dotąd dokuczał. Nie wierzył własnym oczom, a przez myśl przemknęło mu przypuszczenie, że to może jaki nowy figiel z jego strony.

Tym razem jednak mylił się, Wojtek bowiem oświadczył mu poważnie:

— Było aż w Maćkowym lesie! Zaraz pomyślałem sobie, że ty pewnikiem przygrywasz sobie na skrzypkach i zapomniałeś o bydle!

— Bóg ci zapłaci!

Rówieśnik odszedł już dawno, a Jasiek stał jeszcze długo w miejscu i patrzył z nawpół otwartymi ze zdumienia ustami w stronę, w którą ten się oddalił. Tego co zaszło nie pojmował. Wszak ten sam chłopak nie jeden już raz zajął mu bydło, za co on brał cięgi od ojca. Usiadł i aż do południa łamał sobie głowę nad rozwiązaniem zagadki.

Gdy w południe przygnał bydło do domu, opowiedział o tej przygodzie swej siostrze Anielce, o rok od niego starszej. Kochali się oboje bardzo i mieli do siebie wzajemnie większe zaufanie, aniżeli do kogokolwiekbyś innego. Jedno drugiemu zwierzało się ze wszystkich trosk i kłopotów, jakie tylko dzieci mieć mogą, jedno drugiemu świadczyło usługi, gdy się okazała potrzeba.

Dziewczynka wysłuchiwała opowiadania brata poczem odezwała się:

— Ależ Wojtek i ci inni chłopcy wszystkim coś dobrego robią.

— Rzeczywiście?

— Tak! Dzisiaj rano kazała mi matuś iść z mlekiem do miasta, było mi tak ciężko, mój Boże, że ciągle odpoczywałam, bo mi tchu brakło. Wtem patrzę, idzie Wojtek, a z nim inni chłopcy. Zaraz pomyślałam sobie, że jak zawsze tak i teraz będą mnie te zbytniki zaczepiali, ale nie! Wojtek wziął odemnie blaszankę i niósł ją, a gdy się zmęczył wyręczali go w tem inni kolejno. Gdy powiedziałam to matusi, to tak się dziwiła, że aż strach. Mówiła, że musiało ich coś odmienić.

W parę dni potem Jasiek pasał znowu bydło w lesie. Już zmierzch dawno zapadł, ale on jeszcze nie zabierał się do domu, czekał bowiem na swą siostrę. Miała ona wracać wieczorem z pola i prosiła go, żeby na nią zaczekał. Przyrzekł jej to chętnie, lubiał bowiem pozostawać wieczorem w lesie i wsłuchiwać się w głosy natury, do której czuł bardzo wielki pociąg. Umiał on swoim byстрым słuchem odróżnić głos każdego ptaka lub zwierzęcia, zamieszkującego te okolice, to też właściciel dworu brał go często ze sobą na polowanie. Co prawda, siedział na nie niechętnie, bo nie mógł patrzeć obojętnie na zabijanie zwierząt i jak tylko mógł wykręcał się od tego.

Siedział właśnie na pniu drzewa, gdy doszedł

go gdzieś z głębi lasu gwar rozmów. Obejrzał się na swe bydełko i przekonawszy się, że trzyma się gromady i jest w samym środku polanki, wszedł w las. Poprzez drzewa błyskało światło. Przyszła mu wielka ochota pójść zobaczyć co tam być może, ale bał się zostawić swojej trzódki. Mogłaby się rozbiedz, a potem nie znalazłby jej w ciemnym lesie. Wrócił się, a w tej właśnie chwili nadeszła Anielka. Ucieszył się tem bardzo i zostawiwszy ją przy bydle, zaczął się skradać w kierunku błyskającego światła. Gdy już był w niewielkiej odległości, tak, że mógł zobaczyć wszystko dokładnie, położył się na ziemi, tuż za drzewem.

Na maleńkim wyrębie leśnym płonęło ognisko, a wokoło niego snuli się jego rówieśnicy. Wśród nich nie brakowało także Wojtka, a co najdziwniejsza, był tam także sam nauczyciel, ubrany w jakiś dziwny strój. Naraz dał się słyszeć gwizd, a na ten znak wszyscy chłopcy stanęli jak wryci.

— Z laskami zbiórka! — zawołał nauczyciel — i chłopcy stanęli za chwilę w szeregu z dużemi laskami w rękach. Dwóch z nich miało prócz tego przywieszzone na piersiach latarki.

W Jaśku rosło zdumienie, a zarazem jakoś mu się to wszystko bardzo podobało. Nauczyciel podzielił chłopców na dwie części, poczem najpierw jedna, a potem druga poszła w głąb lasu.

Przy ognisku pozostał tylko Michał. Był to chłopiec, z którym Jasiek był zawsze w zgodzie, to też nie namyślając się wiele wyszedł z ukrycia i pozdrowił go:

— Dobry wieczór!

— Jasiek?! — zdziwił się zobaczywszy go.

— Ano!

— To i ty będziesz do nas należał?

— Ta nie!...

— Tylko co?

— Tak tylko przyszedłem tutaj, bom ujrzał ogień. A co wy tu robicie?

Michał zrobił wielce mądrą minę i odrzekł:

— My się tak pięknie bawimy, że aż hej! Ale nie wolno nam palić papierosów, pić wódki i musimy pomagać ludziom, gdy tego zajdzie potrzeba.

— A co jest tam? — zapytał wskazując na grzejący się na ogniu kociołek.

— Herbata!

— To niby sami ją gotujecie?

— Tak!

— No ja już idę!

— A dlaczego?

— Tam czeka na mnie Anielka z bydłem. Bywaj zdrów!

— A bywaj zdrów!

— W drodze powrotnej do domu, rozpowiadał Jasiek szeroko siostrze o tem, co widział i słyszał, a w końcu zwierzył się jej, że miałby wielką ochotę „przystać” do tych chłopców.

II

Lud wiejski wracał tłumnie z kościoła do zagród domowych. Przez pewien czas ogólnym tematem rozmów było kazanie, które młody ksiądz wygłosił z bardzo wielkim ogniem.

Na drodze ukazał się nauczyciel otoczony gromadką chłopców i na nich też zwróciła się rozmowa. Bo też w ostatnich czasach zdarzyło się tyle dziwnych wypadków związanych, z osobą nauczyciela, że było o czem mówić.

Między innymi wracała z kościoła także rodzina Jaśka. Ten ostatni szedł razem z Anielką tuż za rodzicami. Gdy ujrzał nauczyciela i otaczających go rówieśników, postanowił wprosić się do ich towarzystwa. Rzekł więc do siostry:

— Wiesz co Anielka, ja pójdę do tych chłopców, którzy idą z panem nauczycielem.

— A po co?

— Chciałbym do nich przystać.

— To idź!

— Kiedy nie śmiem!

— Cobyś nie śmiał! Wszak to tacy sami chłopcy jak i ty!

— Ta niby!

Zbliżył się do gromadki, ale długo jeszcze namyślał się nim nareszcie przystąpił do nauczyciela. Zdjął przed nim czapkę i powiedział:

— Panie nauczycielu, jabym chciał należeć do tych chłopców, którzy się tak pięknie bawią!

- A ile masz lat?
- Dwanaście!
- No dobrze! A masz teraz czas?
- Mam!
- Więc chodź z nami!

Minęli wieś i zagłębili się w las. Nauczycie zagwizdał, a następnie zawołał głośno:

- Szyk zastępowy rozrzuć się!

Chłopcy rozbiegli się w różne strony.

— Rób, to, co inni będą robili! — powiedział do Jaśka, poczem pobiegł naprzód. Gdy oddalił się o kilkadziesiąt kroków, podniósł rękę w górę, a następnie spuścił ją na dół. Na ten znak chłopcy ruszyli naprzód, za nimi zaś po pewnym namyśle poszedł Jasiek. Wtem wszyscy zaczęli biedz. Koło niego przeleciał Michał, który zawołał:

— Jasiek, czego leziesz tak wolno. Leć kiedy my lecimy.

- A dlaczego?

— Bo tak trzeba.

Pobiegł więc i on. Za chwilę wszyscy padli na ziemię, potem podnieśli się i szli, to znów biegli, aż wreszcie stanęli. Jasiek przysunął się do Michała i zapytał go:

- Michał, a co to będzie?

— To nie wiesz?

— Nie!

— Mamy tu dwa zastępy...

— A co to jest zastęp?

— My wszyscy tutaj tworzymy jeden zastęp,

ci zaś chłopcy, którzy poszli przed nami do lasu, są drugim zastępem. Rozumiesz?

— A czemu nie miałbym rozumieć?

— Myśmy zrobili z panem nauczycielem w Maćkowym lesie taki obóz... pewnie nie wiesz co to jest?

— Ta nie!

— To są takie małe chałupki, które stoją wkoło siebie!

— Chałupki?

— Tak! ale to się inaczej nazywa, tyłkom sobie zapomniał... czekaj już wiem! to są szałas i namioty! Ten drugi zastęp jest w obozie, którego pilnuje, a my mamy się do niego wkraść.

— Aha!

— Dano znak do pochodu, a w parę minut potem jakiś nowy znak, bo wszyscy chłopcy rzucili się na ziemię i zaczęli czołgać się po niej jak węże. Jasiek położył się na trawie, ale nie ruszał się z miejsca, Michał obejrzał się, a zobaczywszy to powiedział przyciszonym głosem:

— Jasiek, a leż za mną!

— Chłopiec w paru szybkich ruchach znalazł się przy swym towarzysz, który go zaczął pouczać:

— Musisz pełzać tak ostrożnie, żeby żadnej gałązeczki nie złamać, bo by strażnicy nas usłyszeli i złapali.

— A dokąd pełzamy?

— Do obozu! Staraj się by cię nie ujrzeli,

ale przeciwnie byś ty ich ujrzał i dostał się do obozu. Gdy ci się to powiedzie, dostaniesz od pana nauczyciela kreskę.

— A co to jest kreska?

— To jest kreska! Pan nauczyciel pisze w notesie każdemu, który się czemś odznaczy, kreskę, a gdy kto ich ma dużo, ten uważany jest za dobrze wyćwiczonego i dostaje różne odznaki...

— A tyś już dostał?

— Owszem! nie jeden raz!

Jasiek trzymał się jak cień Michała i dobrze na tem wyszedł, bo Michał umiał ze wszystkich chłopców najlepiej podchodzić i jeszcze nigdy nie dał się złapać.

Pierwszy wkradł się do obozu Michał, a za nim Jasiek. W pół godziny potem udało się to także Szymkowi, zaś wszyscy inni zostali schwytani.

Nauczyciel zebrał chłopców wokoło siebie, pochwalił tych, którzy okazali zręczność w ćwiczeniu, udzielił im kresek, poczem rzekł:

— Zastęp koni pójdzie teraz na tę polankę w Jańskowym lesie, a zastęp psów zostanie tutaj. Wszyscy uzbroicie się w szyszki i gdy usłyszycie głos mej trąbki ruszycie ku sobie. Pomiedzy psami jest zdrajca. On schowa w pobliżu źródelka, w Wojtkowym lesie list bardzo ważny dla koni. Ten list będą chciały znaleźć psy i konie, a jedni i drudzy będą sobie w tem przeszkadzali, rzucając na siebie szyszkami. Każdy

trafiony będzie uważany za zabitego i będzie musiał wrócić do obozu. Ten kto uderzy szyszką drugiego, otrzyma kreskę, a ten kto znajdzie list cztery kreski. Jeżeli n. p. konie będą miały więcej kresek, to one wygają. Zdrajca będzie aresztowany i skazany na wygnanie ze wsi, a na znak tego nie będzie się bawił z innymi. Czy rozumiecie to co powiedziałem?

— Tak, tak! — dało się słyszeć parę głosów.

— A więc konie w drogę!

— Uważajcie teraz — zwrócił się nauczyciel do pozostałych chłopców — bo zdrajca jest między wami. Kto nim jest dowiedzie się, gdy zauważycie nieobecność jednego z was w obozie. Obecnie zabawimy się. Zróbcie koło.

Chłopcy chwycili się za ręce.

— Kto chce iść do środka?

— Niech Jasiek idzie! — zaproponował któryś.

— Zgoda! Przyjrzyj się Jaśku dobrze wszystkim, których tu widzisz, bo zasłonimy ci oczy, a wtedy jeden z nich ucieknie w las. Gdy nie zgadniesz prędko kto to był, będziesz musiał zostać tu w środku i słuchać tego co ci zaśpiewają — to powiedziawszy, nasunął mu na oczy swój kapelusz. Następnie zaśpiewał, a chłopcy powtórzyli za nim piosnkę:

Chłopaku, chłopaku

Wiatr ci w oczy wieje,

Oczy przysłoniłeś,

Nie wiesz co się dzieje.

Oj dana, oj dana, oj dana!

3 Z koła odłączył się Szymek i pobiegł w las
a w tej chwili wszyscy zaśpiewali:

Ktoś z koła umyka
Podkówkami puka,
Biegnie jaknajdalej
I kryjówki szuka.

.....

Jasiek zerwał nagle kapelusz i zaczął się rozglądać, co wywołało ogólny śmiech. Pouczono go kiedy mu dopiero wolno to uczynić, powtórzono wszystko od początku i śpiewano dalej:

Teraz zdejm swą czapkę,
Szybko rzuć oczyma,
Prędko bez namysłu
Powiedz kogo niema.
Oj dana, oj dana, oj dana!

Jasiek odsłonił oczy i patrzył, ale chłopcy obracali się kółko tak szybko, że nie odgadł kogo brakuje. Usłyszał też zaraz:

Zakładaj swą czapkę,
Nie zgadłeś nieboże,
Będziesz znowu w kole,
Nic ci nie pomoże.
Oj dana, oj dana, oj dana!

Chłopiec, który już pojął na czem polega zabawa, zasunął sobie sam kapelusz na oczy i czekał. Gdy zaśpiewano mu, że może spojrzeć, uczynił to i zawołał zaraz z radością:

— Michała nima!

Odgadłeś, odgadłeś,
Oczka masz sokole
A ty wyjdź z ukrycia,
Będziesz taraz w kole.
Oj dana, oj dana, oj dana!

...usłyszał w odpowiedzi. Nauczyciel przerwał zabawę i aby chłopcy nie usłyszeli, że Michał nie wraca, urządził szybko inną. Pierwszy spostrzegł się Jasiek i w chwili kiedy bawiono się w najlepsze, wrzasnął:

— Adyc Michała nima!

Uciszyło się natychmiast.

— Tak, to on musiał być zdrajcą, — oświadczył nauczyciel — gdy wróci otoczycie go i zaaresztujecie, aby zaś nie domyślił się niczego i nie uciekł przedwcześnie, bawmy się dalej.

Michała długo nie było widać, a gdy wreszcie ukazał się, rzucili się ku niemu wszyscy tak skwapliwie, że o mało go nie udusili.

Rozległy się rozgłośnie dźwięki trąbki.

Chłopcy napełnili kieszenie szyszkami, poczem ruszyli w las. Gdy zbliżali się do źródelka nauczyciel wysłał w trzech kierunkach strażę, a sam rozpoczął z pozostałymi poszukiwania.

— Rozglądajcie się dobrze po ziemi — mówił — a jeżeli zauważycie gdzieś jaki ślad, to znaczy złamaną świeżo gałązkę lub zgniecione kwiatki, dajcie mi znać o tem zaraz.

Po pewnym czasie gdy chłopcy nic ciekawego nie znaleźli, odezwał się:

— Patrzcie na ten zgnieciony grzyb tutaj. Pod tym drzewem musiał być ktoś niedawno. Jak sądzicie, czy przechodził tutaj tylko, czy zatrzymywał się dłużej?

— Ano tu musiał stać, — oświadczył Szymek.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ten prawdziwek jest zgnieciony!

— Tak! Gdyby przechodził tylko, nie zniszczyłby tego grzyba, bo rośnie za blisko drzewa. Gdzież będziecie szukać teraz listu?

— Ano pewnie będzie na drzewie! — rzekł znowu Szymek.

— Co widzisz na nim ciekawego?

— Kora jest zdarta!

— Cóż to oznacza?

— Chciał włożyć tu list ale kora odleciała!

— Bardzo dobrze! A co jeszcze można zauważyć na drzewie?

— Ja nie widzę już nic!

— A wy? — zwrócił się do innych.

Nie zauważyli także nic więcej.

— Więc cóż będzie z naszym listem?

— Może gdzieindziej go schował!

— Nie! Przyjrzyjcie się tutaj — to mówiąc wskazał palcem na rysy idące po drzewie z dołu do góry — od czegoż to jest?

Nikt nie potrafił wytłumaczyć.

— Kto z was umie wychodzić na drzewo? zagadnął ich naraz.

Zgłosiło się kilku. Nauczyciel spojrzał po butach chłopców i wybrał Jaśka, a gdy ten zaczął się wspinać na sąsiednie drzewo, powiedział do nich:

— Czy widzicie te znaki, które robi Jasiek butami?

— Tak!

— Więc co oznaczają ślady na tym drzewie?

— Ano Michał wspinał się po nim do góry!

— Tak! A więc gdzie będzie list?

— Na drzewie! — zawołał Szymek i z błyskawiczną szybkością wdrapał się na drzewo. Wkrótce rozległ się jego uradowany głos:

— Mam!

W tej chwili posypał się grad szyszek. Siedzący na drzewie chłopiec krzyknął z bólu i chwycił się za ucho.

— Chować się za drzewa! — rozkazał nauczyciel.

Rozpoczęła hałaśliwa walka, której w końcu położył kres nauczyciel zagrawszy na trąbce.

W czasie gdy zastęp psów zajęty był tropieniem, nadszedł zastęp koni i wykonał atak. Szymek musiał wrócić do obozu. Podobnie i ci trzej chłopcy, którzy byli wysłani na strażę. Głośną rozmową zwrócili na siebie uwagę zbliżających się koni, a ci podeszli ich na kilka kroków i obrzucili szyszkami.

Wrócono do obozu.

— Na pogodnem dotychczas niebie ukazała się czarna chmura i przesuwała się szybko.

— Panie nauczycielu będzie deszcz, — zauważył Jasiek.

Jak gdyby na potwierdzenie tego, dał się słyszeć długi, oddalony jeszcze grzmot.

— Zbierać się! — rozkazał nauczyciel.

Niedługo potem przewijał się między drzewami długi szereg chłopców. Przyspieszali oni sami kroku i prawie, że biegli, bo chcieli się znaleźć jaknajprędzej w domu. Bali się bardzo burzy, niosącej ze sobą błyskawice i pioruny. Naraz w przerwie między grzmotami, rozległ się głos Jaśka:

— Panie nauczycielu, tu za tym lasem — wskazał ręką na prawo — ma pewien gospodarz wszystko zboże na polu...

— To go sobie zwiezie — odezwał się gniewnie Wojtek, który domyślił się o co chodziło Jaśkowi, a nie miał wcale ochoty robić czegokolwiek dla kogoś obcego w czasie burzy, który bał się okrutnie.

— Kiedy oni pojechali na odpust!

— Więc prowadź nas tam — rzekł nauczyciel, poczem zwrócił się do chłopców ze słowami:

— Sądzę, że zechcecie spełnić „dobry uczynek“ ?...

— Tak, tak! — odpowiedziało mu parę ochotczych głosów, a tylko Wojtek był niezadowolony, bo mruknął pod nosem coś niewyraźnego.

Biegnać dotarli do skraju lasu. Przylegała do niego samotnie stojąca chata, łącząca w sobie zarazem stajnię i stodołę. Właścicielem jej był jeden z najbiedniejszych we wsi gospodarzy zwany powszechnie „Jopkiem“.

Wszędzie wokoło widać było puste ścierniska, to też nauczyciel powiedział zdziwiony do Jaśka:

— Wszak zboże jest tu wszędzie zebrane!

— Jopkowe zboże jest tam za działem, za wzgórzem.

— A więc prowadź!

Gdy znaleźli się na szczycie wzgórza, ujrzeni niedaleko, na jego drugim zboczu dwie, wysokie sterty zboża nie przykryte nawet wiechciem słomy.

Każdy z chłopców wziął po parę snopków i co sił uciekał z niemi ku chacie, bo z nieba zaczęły padać już pierwsze krople deszczu.

A chmury jak gdyby tylko czekały na to, aż chłopcy schowają się pod dachem, chlapnęły naraz całemi strumieniami wody.

W chacie Jopka znajdowała się jego matka, staruszka, która już z trudem chodziła, ale mimo swych dziewięćdziesięciu kilku lat, miała jeszcze „jasne pojnowanie“, jak to o niej ludzie mówili. Prócz tego było tam dwoje małych dzieci.

Gdy już zboże było złożone w tej części chaty, która nosiła szumne miano stodoły, weszli wszyscy do izby i pozdrowili staruszkę chórem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen! — odpowiedziała wstając od stołu, na którym świeciła się gromnica, a obok leżała otwarta książeczka do nabożeństwa, z której się widocznie modliła.

Spojrzała po wszystkich i załamawszy ręce zaczęła biadać:

— O laboga, a co to was przygnało w taki czas!... Ależ tam leje jakby z dziurawej miski...

W tej chwili uderzył gdzieś blisko piorun. Staruszka drgnęła i jęła powtarzać głośno słowa modlitwy:

— Święta Maryo Matko Boża módl się za nami... O Jezusienku mój — zaczęła narzekać znowu — a cóż ten mój biedaczek będzie robił, nie wiele ma i to mu się zniszczy... O Mateczko Najświętsza, zmiłuj się nad nami...

— Nie rozpaczajcie matusiu — zwrócił się do niej nauczyciel — bo myśmy wam znieśli zboże jeszcze nim zaczął deszcz padać. Patrzcie co na nas zostało słomy...

Staruszka spojrzała z niedowierzaniem na mówiącego, potem rzuciła wzrokiem po chłopcach i wreszcie twarz jej się rozjaśniła. Zawołała z uniesieniem radości, składając ręce jak do modlitwy:

— Bóg wam zapłacić... a co też to za pocziwi chłopcy... o Bóg wam zapłacić paniezu... — tu chwyciła nauczyciela za rękę aby go pocałować.



— Ależ matusiu, co wy robicie... ja taki młody powinienem was raczej pocałować w rękę — i śmiejąc się chciał to uczynić, ale staruszka nie dopuściła do tego.

Usiedli dookoła stołu, a nauczyciel zwrócił się do staruszki z prośbą:

— Wy matusiu już tak długo żyjecie na świecie, więc może opowiecie nam, jak to tam było w naszej wsi za dawnych czasów. Do kogo wieś należała, jacy tu byli panowie we dworze, jak ludzie pracowali i gospodarzyli i t. d. Mybyśmy tego radzi posłuchali. Prawda chłopcy?!

Odpowiedział mu chór zgodnych głosów.

Staruszka potarła ręką czoło, zamyśliła się głęboko, a w końcu zaczęła opowiadać historię dawnych lat... historię wsi, kiedy jako dziewczynka zaczęła rozumieć to, co się wokoło niej działo.

III

W brzozowym lasku, znajdującym się w pośrodku wsi, siedziała znaczna gromadka chłopców wiejskich.

Był to jeden z ostatnich dni jesieni, która położyła już swoją rękę na wszelkiej zieleni i odebrawszy jej świeżość, odbierała życie. Ale nie odebrała piękna tym brzozom, które zmieszane z jarzębiną mieniły się żółcią i czerwienią, jak odświętne suknie zamożnych gospo-

dyń. Słońce nie przygrzewało już tak silnie jak w lecie, ale zlewało jeszcze wszystko swemi blaskami, ożywiając zapadającą martwość.

Na skraju lasu ukazał się jeszcze jeden chłopiec, a w dość znacznej odległości za nim widać było postępującego nauczyciela. Chłopiec zatrzymał się przy krzaku dzikiej róży, zerwał przy pomocy noża parę jej gałązek, poczem dopiero przystąpił do zajętych głośną rozmową towarzyszy.

Był to przyjęty niedawno do ich kółka Walek, najmłodszy wiekiem. Każdy z chłopców miał przynieść na dzisiejsze zebranie jakiś kwiatek, miało się bowiem odbyć pewne ćwiczenie. Walek przypomniał sobie o tem w ostatniej chwili i zerwał parę gałązek polnej róży. Przywitawszy się ze wszystkimi usiadł obok Michała. Ten obrzucił go wzrokiem i naraz zawołał przerażonym głosem:

— Ależ on ma „bedeguar“!

Na jednej z gałązek róży znajdowała się orzeszkowata narośl, wyglądająca jak mech, a zwana przez wieśniaków: „bedeguarem“. Wierząco, że kto ją znajdzie, tego spotka coś złego, to też Michał rzekł do Walka:

— Spotka cię nieszczęście!

— A jest na to rada! powiedział tryumfująco Wojtek.

I kazał Walkowi zerwać narośl w milczeniu i rzucić ją poza siebie. W ten sposób nieszczęście miało się przemienić dla niego w szczęście.

Nadszedł nauczyciel. Dowiedziawszy się o tem co zaszło rzekł:

— Ej chłopcy! widzę, że jesteście zabobonni. Pamiętajcie tem, że żaden rozumny człowiek w takie głupstwa nie wierzy. Już parę razy znalazłem ten wasz „bedeguar“, ale nie spotkało mnie żadne nieszczęście.

Podniósł rzuconą na ziemię gałązkę i objaśnił:

— Ta narośl, którą tutaj widzicie powstała w ten sposób, że pewien gatunek owada, zwanego galasówką, zrobił w tej gałązce parę dziurek i złożył w nich jajka. W tych miejscach wyrosły te długie włoski. Siadajcież teraz, gdyż rozpoczniemy nasze zebranie. Nadszedł już czas, abyście wybrali jednego z pośród siebie na stałego, dowódcę, czyli zastępowego. Ja ze swej strony proponuję, aby był nim Jasiek. Oczywiście każdy z was może głosować na tego, kogo uważa za odpowiedniego.

I stała się rzecz dziwna. Ten sam chłopiec, który był przez długi czas bity i krzywdzony przez swych rówieśników, teraz został przez nich obrany na dowódcę i przewodnika pracy i zabaw. Bo też Jasiek nie tylko był najzręczniejszy ze wszystkich i w każdej zabawie, czy ćwiczeniu zwycięzcą, ale też umiał swoim zachowaniem się zaskarbić sobie przyjaźń towarzyszy. Co prawda, to wybór nie był dokonany jednomyślnie, Michał i Wojtek nie głosowali za Jaśkiem. Pierwszy przez zazdrość, a drugi przez

złość i pamięć o tem, o czem już inni zapomnieli. Wojtek nie mógł pogodzić się z tą myślą, że będzie musiał słuchać tego, którego zawsze w bitkach pokonywał.

Pod koniec zebrania nauczyciel zapytał:

— Którzy z was mają robotę na dzisiaj popołudniu?

Prawie wszyscy mieli coś do czynienia.

— Cóż ty masz robić Wojtku?

— Tatuś kazali mi przygotować wóz, bo jutro ma jechać na jarmark.

— A ty Szymku?

— Ja mam urąbać drzewa!

— A ty Pietrku?

— Mnie matuś kazali wrócić zaraz do domu, bo mam wyrzucić gnój ze stajni i dać bydłu świeżą podściółkę!

— Ty Jaśku masz zapewne pasać bydło?

— Nie! dzisiaj pasie za mnie Maryśka, a ja mam mleć zboże na żarnach, bo matuś będą jutro piekli chleb!

— A ty Walku?

— Ja mam obierać ziemniaki na wieczerzę!

— A Michał?

— Ja mam naprawić płot, bo go wicher wczoraj wywrócił!

Gdy w ten sposób wybadał wszystkich, rzekł:

— Udamy się teraz razem do każdego z was po kolei i pomożemy mu wykonać szybko to,

co ma do zrobienia. Gdy nam zostanie jeszcze co czasu, odwiedzimy także innych gospodarzy. Ano wiara za mną!

Najbliżej znajdowała się chata, w której mieszkała rodzina Pietrka. Z wesołemi okrzykami wpadli chłopcy na podwórze, a nauczyciel zawołał do gospodyni, która ukazała się właśnie w drzwiach zagrody:

— Hej gosposiu pilnujcie się, bo oto najazd tatarów!

A kobieta z wielkiego zdziwienia otworzyła usta tak szeroko, jak te wrota, przez które wpadło kilkunastu dziarskich chłopców. Nie trzeba ich było zachęcać do roboty, bo sami uwijali się już żwawo, wynosząc gnój ze stajni.

— Gospodyni miała w ręce siekierę. Zauważył to nauczyciel i rzekł śmiejąc się:

— A co matusiu, to na tatarów broń? Dajcie no ją, bo ja wódz tej bandy, która na was napadła, mam wielką ochotę rąbać... nie was, nie bójcie się ale... drzewo. Wy tymczasem robcie sobie co innego... Hej Walek, Michał, a nie próżnować! Dalej do mnie, będziecie drzewo nosić do izby.

W kilka minut potem wyszła z domu dorodna dziewoja, niosąca próżne konewki w rękach. Ujrzał to nauczyciel i nie przestając wywijać siekierą huknął:

— Wojtek sam tu! — a gdy ten się zjawił:

— Bierz konewki i „mygaj“ po wodę — a ty krasawico — zwrócił się do niej — idź pomagać matusi.

A Wojtek nie prosił, tylko jak przystało na „tatarą“, wziął z rąk zarumienionej po uszy dziewczyny konewki i przyśpiewując sobie pomknął z niemi ku rzece.

W pół godziny potem opuszczali „tatarzy“ wśród śpiewów zagrodę gospodarską, a byli to dziwni ci nowocześni rozbójnicy, bo miast zniszczenia, zostawiali za sobą porządek i to nie „byle jaki“.

Sklep m
„SA



Krakowskich Drużyn skautowych (harcerskich) — w Krakowie — Bracka 17.

Poleca :

Papier kancelaryjny, conceptowy,
listowy w kasetkach, w teczках
w wielkim wyborze

oraz

przybory szkolne, mapy plastyczne
(reliefy) ze skautowej pracowni
geoplastycznej.

Poleca się dla Drużyn książki
i podręczniki.

Zamówienia na prowincję uskutecznia
się odwrotnie.